

# *Lady Jane*

Niewinna zdrajczyni



Alison Weir

*Lady Jane*

Niewinna zdrajczyni

Przełożył  
Adam Tuz

Wydawnictwo Astra

Tytuł oryginału:  
**Innocent Traitor**

Copyright © 2006 by Alison Weir

First published by Hutchinson in 2006

Published by Arrow Books in 2007

Wszystkie prawa zastrzeżone. Poza uczciwym, osobistym korzystaniem w celu nauki, badań, analizy albo oceny, przewidzianym w Ustawie o Prawach Autorskich, Projektowych i Patentowych z 1988 r., żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w bazach danych ani transmitowana w żadnej postaci ani żadnymi środkami przekazu – elektronicznie, elektrycznie, chemicznie, mechanicznie, optycznie, przez fotokopie ani w żaden inny sposób – bez uprzedniej, pisemnej zgody właściciela praw autorskich.

© Copyright for the Polish edition by  
Wydawnictwo Astra s.c.  
Kraków 2013

Przekład:  
Adam Tuz

Przygotowanie edycji:  
Jacek Małkowski

Redakcja:  
Barbara Faron  
Aleksandra Marczuk  
Jacek Małkowski

Skład i przygotowanie do druku:  
Wydawnictwo Astra s.c.

Fotografia na okładce:  
© Jeff Cottenden

Wydanie I  
Kraków 2013

ISBN 978-83-89981-63-7

Wydawnictwo Astra  
31-026 Kraków  
ul. Radziwiłłowska 26/2  
tel. 12 292 07 30, 602 256 638

[www.wydawnictwoastra.pl](http://www.wydawnictwoastra.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoAstra](https://www.facebook.com/WydawnictwoAstra)  
[wydawnictwo@astra.krakow.pl](mailto:wydawnictwo@astra.krakow.pl)

**Prowadzimy sprzedaż wysyłkową**  
[www.sklep.wydawnictwoastra.pl](http://www.sklep.wydawnictwoastra.pl)

## Prolog

14 listopada 1553 roku

Wszystko skończone. Mój proces dobiegł końca i ponownie znalazłam się w Tower – niegdyś moim pałacu, a obecnie więzieniu.

Siedzę na łożu, ugniatając nerwowo haftowaną narzutę. W palenisku wesoło trzaska ogień, lecz mimo to czuję dreszcze. Zostałam skazana na śmierć jako zdrajczyni, a w myślach wciąż słyszę tylko dźwięczny głos przewodniczącego Tajnej Rady Królewskiej, obwieszczający wyrok: spalenie na stosie lub ścięcie, według uznania królowej.

Każda ludzka istota z drżeniem przyjęłaby te słowa, jednak w moich uszach brzmią one szczególnie okrutnie – przecież skończyłam zaledwie szesnaście lat! Dopiero wkroczyłam w życie, a już muszę umrzeć. To dostatecznie przerażające, ale odczuwam nie tylko strach przed śmiercią. Boję się również tego, jak przyjdzie mi umierać.

Nagle obraz tańczących w kominku płomieni przeradza się w koszmar przejmujący dreszczem, od którego kark pokrywa się gęsią skórką, a krzepiący zwykle zapach dymu unoszącego się znad płonącego drewna przyprawia mnie o mdłości. Mam ochotę krzyknąć. Kołyszę całym ciałem w udręce i wciąż na nowo wspominając słowa wyroku, nie mogę wprost uwierzyć, że skierowano je do mnie.

Niech się dzieje nie moja, lecz Twoja wola, Panie. I królowej, rzecz jasna. Pokornie przyznaję, iż poważnie naruszyłam prawo i swoim postępkiem zasłużyłam na śmierć, ale do ostatniego tchu będę gorąco zaprzeczać, jakoby mi dała się doń nakłonić całym sercem i wolą. Mój Boże, jak to brzmi – *do ostatniego tchu...* Królowa wprawdzie oznajmiła, że mi wierzy. Przyjęła wyjaśnienia i rzekła – dobrze pamiętam te słowa, więc chwytam się ich kurczowo niczym tonący belki – że wyrok będzie jedynie formalnością. Widziałam, że się gniewa, choć uznała za stosowne dodać, że usprawiedliwia mnie moja młodość. Z pewnością też wie, że nie uknułam spisku i byłam jedynie narzędziem wiarołomnych ambicji innych.

Czy odważę się uwierzyć w jej łaskę? Ale przecież dała słowo. Królewskie słowo. Muszę się trzymać tej myśli, kiedy znowu poczuję strach, tak jak teraz, w tej schludnej, cichej, umeblowanej z prostotą komnacie. Muszę wierzyć w tę obietnicę. Muszę.

Kładę się na łożu, patrząc niewidzącym wzrokiem w drewniany baldachim. Próbuję się modlić, ale starodawne, znajome formuły umykają myślom. Uświadamiam sobie, że jestem wyczerpana i pozbawiona energii. Chcę jedynie zasnąć i w ten sposób, choćby na chwilę, zapomnieć o całym koszmarze. Sen jednak nie nadchodzi, chociaż desperacko go pragnę. Zamiast tego po raz tysięczny pamięć podsuwa mi wspomnienie minionych wypadków, za sprawą których znalazłam się tutaj. W otchłani dręczącej zadumy rozbrzmiewają jednoczesnym chórem głosy domagające się wysłuchania. Znam je wszystkie, bowiem to one kształtowały moje przeznaczenie.

## *Franciszka Brandon, markiza Dorset<sup>1</sup>*

*Bradgate Hall, Leicestershire, październik 1537 roku*

Poród rozpoczyna się w chwili, w której rozkoszuję się przechadzką po ogrodzie. Nagle czuję wypływający z łona potok płynu, a po chwili, gdy pokojówka rusza w pośpiechu, by przygotować szaty na zmianę i sprowadzić pomoc, ogarnia mnie tępy ból wędrujący od talii aż do dołka. Wkrótce zjawia się grupka akuszerki i służących. Pomagają mi przekroczyć okazałe wrota rezydencji i wejść po dębowych schodach na górę, gdzie zdejmują ze mnie strojne suknie i przebierają w obszerną koszulę porodową z białego lnu, pięknie haftowaną przy szyi i na mankietach. Wreszcie układają mnie na łożu i przybliżają do ust brzeg kielicha wypełnionego słodkim winem. Nie mam na nie ochoty, ale przez grzeczność wypijam kilka łyków. Obok siadają dwie najważniejsze damy dworu, które mają mi umilić nużące godziny porodu. Będą mnie rozweselać i dodawać otuchy, kiedy bóle przybiorą na sile.

Wkrótce tak właśnie się dzieje. Po niespełna godzinie tępy ból pojawiający się przy każdym skurczu przeradza się w doznanie przypominające pchnięcie nożem, przejmujące i nieustępliwe. Mimo to znoszę je odważnie. Świadomość, że w moich żyłach płynie królewska krew, każe mi zachowywać milczenie i stawiać opór krzykom wzbierającym w gardle. Niebawem, jeśli Bóg zechce, wezmę w ramiona syna. Mojego syna, który nie może umrzeć w niemowlęctwie jak poprzednie dzieci, pogrzebane później pod kamiennymi płytami kościoła parafialnego. Żadne bowiem nie dożyło wieku, w którym niemowlę zaczyna siadać lub raczkować.

Nigdy nie uważałam się za osobę sentymentalną. Wiem też, że wielu ludzi uznaje mnie za zbyt silną i niewzruszoną jak na kobietę – jężdżę, jak określił to

---

<sup>1</sup>W odróżnieniu od literatury faktu, w której imiona podaje się zwykle w oryginale poza imionami władców, tłumacz w porozumieniu z wydawcą przyjął zasadę tłumaczenia imion bohaterów z wyjątkiem nielicznych przypadków, w których imię nie ma polskiego odpowiednika, podobnie jak w polskich wydaniach innych powieści historycznych, np. cyklu *Królowie przekłęci* Maurice'a Druona w przekładzie Anny Jędrzychowskiej (przyp. tłum.).

pewnego razu mąż w jednej z naszych licznych kłótni. Niemniej w głębi serca skrywam pustkę, jałowe miejsce, które przeznaczyłam niegdyś dla dwojga utraczonych dzieci.

Podczas trzeciej ciąży często odwiedzałam ów zakątek, zakłócając jego martwy spokój i sprawdzając, czy przeżyte tragedie nadal sprawiają mi ból. Robiłam to, choć nie powinnam pozwalać sobie na taką słabość. Jestem przecież siostrzenicą króla Henryka VIII. Moja matka była angielską królową i królową Francji. Muszę zatem umieć zmierzyć się z bólem straty tak samo jak teraz z porodem – z królewską godnością. Obiecuję też sobie, że nie ulegnę nigdy makabrycznym fantazjom, gdyż – jak twierdzą akuszerki – mogę w ten sposób bardzo zaszkodzić dziecku, które właśnie wydamę na świat. Należy myśleć pozytywnie, co powinnam umieć, ponieważ jestem urodzoną optymistką. Tym bardziej że intuicja podpowiada mi, iż Bóg ześle nam teraz syna, tak gorąco upragnionego dziedzica.

Mija kolejna godzina. Chwile wytchnienia pomiędzy skurczami są krótkie, ale ból nadal udaje się znieść.

– W razie potrzeby może pani krzyczeć, milady – mówi położna, podczas gdy inne uwijają się wokół ze świecami i miedzicami z wodą. Chciałabym, aby wszystkie poszły i zostawiły mnie w spokoju. Chciałabym również, by wpuściły trochę świeżego powietrza do tej cuchnącej, dusznej komnaty. Chociaż jest dzień, w pomieszczeniu panuje mrok, jako że wszystkie okna zasłonięto gobelinami i barwionymi kotarami.

– Nie możemy ryzykować, by dziecko się zaziębiło z powodu przeciągu, milady – ostrzega akuszerka, zarządzając owe przygotowania. Później osobiście sprawdza, czy na gobelinach nie ma obrazów, które mogłyby przerażać noworodka.

– Dołóżcie do ognia – poleca swoim pomocnikom, podczas gdy ja znowu zmagam się z bólem. Mimo woli wydaję jęk. Już i tak jest tu gorąco i pocę się jak świnia. Ona oczywiście wie o tym. Daje znak skinieniem głowy i po chwili czuję na czole dotyk wilgotnej tkaniny, która jednak przynosi niewielką ulgę, bo prześcieradła i tak są mokre od potu.

Tłumię kolejny jęk.

– Może pani krzyczeć – powtarza położna. Ale ja nie chcę. Nie zrobię z siebie niegodnego widowiska. Zważywszy na swe urodzenie i pozycję, najbardziej doskwiera mi poniżenie związane z zaistniałą sytuacją. Leżąc tu niczym zwierzę, starając się z mozołem wydać na świat młode, nie różnię się od żadnej rodzącej, prostej baby. Nie widzę w tym również nic ekstatycznego. Wiem, że zabrzmi to jak bluźnierstwo, ale Bóg, stwarzając kobietę, po-

stąpił gorzej niż niesprawiedliwie. Mężczyznom przypada w udziale sama przyjemność, podczas gdy my, biedne damy, musimy zmagać się z bólem porodu. A jeśli mój mąż, Henryk, myśli, że po tym wszystkim zamierzam kiedykolwiek...

Coś się dzieje. Boże drogi, co się dzieje? Słodki Jezu, kiedy to się skończy?

Położna ściąga ze mnie przykrycie i podnosi koszulę, odsłaniając rozdęty i napięty brzuch. Leżę na łóżku z podgiętymi kolanami i rozsuniętymi udami, ona zaś zagłębia we mnie doświadczony palec. Kiwa głową z satysfakcją.

– Jeśli się nie mylę, to temu małemu chłopcu się spieszy – obwieszcza damom, kręcącym się niespokojnie w pobliżu.

– A teraz uwaga! – wykrzykuje triumfalnie. – Proszę przec, milady, przec!

Skupiam wszystkie siły, biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze z wysiłku, wiedząc, że finał jest już bliski. Czuję, że dziecko wychodzi! Przyciskam podbródek do piersi i prę mocno, zgodnie z poleceniem. I staje się cud. Czuję, jak wraz z krwią i śluzem wyslizguje się ze mnie coś małego i mokręgo. Prę jeszcze raz i dziecko wpada wprost w ręce oczekującej akuszerki, która szybko owija je kosztownym adamaszkiem. Przed oczami miga mi twarzyczka przypominająca pomarszczoną brzoskwinię. Wiem, że dziecko żyje, bo słyszę miauczający płacz.

– Piękna córka, milady – obwieszcza położna niepewnie. – Zdrowa i ruchliwa.

Chociaż powinnam z radością dziękować Bogu za bezpieczne urodzenie pełnego wigoru dziecka, upadam na duchu. Zniosłam to wszystko na próżno.

## *Królowa Jane Seymour*

*Pałac Hampton Court, Surrey, październik 1537 roku*

Rozpoczął się poród, którego wszyscy tak niecierpliwie oczekiwali: ja sama, mój mąż król oraz cała Anglia. Zaczął się zwiastującym krwawieniem, a na ów znak zatroskane położne pospiesznie zaprowadziły mnie do łoża, w obawie, aby nie doszło do żadnych powikłań. W istocie zastosowano wszelkie środki

ostrożności, by nie dopuścić do komplikacji. Od początku lata, odkąd tylko dziecko poruszyło się w moim łonie i pojawiłam się publicznie w rozsznurowanej sukni, w całym kraju zaczęto odprawiać modły w intencji bezpiecznego porodu. Mąż wynajął najlepszych lekarzy i akuszerki, sownie też opłacił wróżki, które miały przepowiedzieć płeć noworodka. Wszystkie z wielką pewnością siebie obiecały, że będzie to chłopiec, następca tronu Anglii. Henryk nalegał, abym zrezygnowała z udziału we wszelkich uroczystościach państwowych, zatem przez ostatnie miesiące wypoczywałam w luksusowej beczynności, otoczenie zaś zaspokajało każdy mój kaprys i pragnienie. Król posłał nawet do Calais po przepiórki, za którymi tak bardzo przepadałam. Zjadłam ich tyle, że nie mogę już na nie patrzeć.

Mówiono mi, że większość ciężarnych w miarę wzrastania cennego łona popada w przyjemną euforię, jakby natura celowo dawała chwilę wytchnienia przed czekającą je ciężką próbą i późniejszymi powinnościami macierzyństwa. Jednak mnie ominęła ulga dobrego samopoczucia czy radości z przyszłych, jeśli Bóg pozwoli, wspaniałych chwil. Nieodłącznie bowiem towarzyszy mi strach. Strach przed bólem porodu. Obawa przed tym, co się stanie, jeśli noszę w łonie dziewczynkę lub martwy płód, jak dwie moje nieszczęsne poprzedniczki. Lęk przed mężem, który mimo całego oddania i troski, jakie dla mnie żywi, potrafi wprawić w drżenie nawet najsilniejszych mężczyzn. To, że kiedykolwiek obdarzył uczuciem tak skromną i pospolitą istotę jak ja, przekracza moje ograniczone zdolności pojmowania. Damy dworu, kiedy odważą się poruszyć ten temat, tłumaczą szeptem, że król mnie kocha, gdyż jestem absolutnym przeciwieństwem Anny Boleyn, owej czarnookiej wiedźmy, która przez siedem lat trzymała go na dystans, karmiąc obietnicami niewyobrażalnych zmysłowych uciech i krzepkich synów, a zawiodła go i w jednej, i w drugiej kwestii, kiedy już poruszył niebo i ziemię, by ją ukoronować. Nie jestem w stanie myśleć o tym, jak z nią postąpił. Mimo że uznano ją za winną zdrady małżeńskiej z pięcioma mężczyznami, w tym z własnym bratem, przerażeniem napawa myśl, iż mężczyzna potrafi ściąć głowę kobiecie, którą trzymał w ramionach i niegdyś kochał do szaleństwa. Przerażeniem tym silniejszym, że ów mężczyzna jest moim mężem.

Tak więc żyję w strachu. Właśnie teraz niepokoję się myślą o zarazie, która szaleje w Londynie tak gwałtownie, że król wydał rozkazy zakazujące zbliżania się do dworu wszystkim mieszkańcom miasta. Zamknięta w ciągu ostatnich sześciu tygodni w prywatnej komnacie, jak zwykły postępować w podobnej sytuacji angielskie królowe, za jedyne towarzystwo mając usłu-

gujące kobiety oraz myśli o rychłym porodzie, ulegałam rozmaitym obawom, toteż w pewnym sensie odczuwam teraz ulgę, mogąc skupić się na rzeczywistym zagrożeniu.

Henryka nie ma. Udał się na polowanie, będące dla niego nawykiem oraz namiętnością, choć dał słowo, że nie odjedzie dalej niż na 60 mil. Wzruszyłabym się ową troską, gdyby nie świadomość, że to doradcy sugerowali mi, aby zanadto się ode mnie nie oddalał. Tak czy inaczej, cieszę się, że wyjechał. Jego obecność byłaby bowiem jeszcze jednym powodem do zmartwienia, jako że dręczące go obsesyjne i godne współczucia pragnienie, aby dziecko okazało się chłopcem, jest czymś, czego do końca nie potrafię pojąć.

Jest popołudnie, a ból nawraca z przytłaczającą siłą, choć położna sugeruje, że narodziny dziecka mogą nastąpić dopiero za kilka godzin. Błagam Boga, aby ta męka rychło się skończyła i by przyspieszył chwilę rozwiązania, gdyż dłużej już cierpieniu nie podołam.

*Pałac Hampton Court, 12 października 1537 roku*

Upłynęły trzy dni i noce, więc jestem już u kresu i tak nikłych sił. Życie nie przygotowało mnie na podobne katusze. Nie pomagają modły, procesje ani nabożeństwa w intencji szczęśliwego rozwiązania, odprawiane w Londynie na rozkaz króla, gdyż mnie nie dosięgnie żadna pomoc. Istnieję tylko ja i ból. Zapomniałam już, dlaczego tu jestem. Wiem tylko, że jeśli zacznę krzyczeć dostatecznie głośno, ktoś będzie musiał uśmierzyć to okrutne cierpienie.

Jakiś czas temu podsłuchiłam rozmowę wezwanych pospiesznie lekarzy. Pytali jeden drugiego, czy powinni ratować matkę, czy dziecko. Nawet wtedy było mi wszystko jedno, choć słyszałam, że jeden z nich zaproponował rozcięcie brzucha, aby wyjąć zeń noworodka. Nie dbałam o to. Był tylko ustał ból. Ale to działo się godziny, zdaje się, że wręcz lata temu, a ja nadal cierpię. Nie spełnili zatem swej straszliwej groźby.

Teraz jest noc. Ledwie dostrzegam mrok za oknem. Kotary rozsunięto, żeby wpuścić nieco powietrza do cuchnącej komnaty, w której wisi ciężki odór porodu. Lekarze i akuszerki tłoczą się wokół łoża, odbywając gorączkową naradę. Gotowa byłabym wyzionąć ducha, lecz oni mi nie pozwolą.

Akuszerka zbliża do mojego nosa chusteczkę. Czuję zapach pieprzu, który sprawia, że kicham gwałtownie. Nagle ponownie zaczynają się skurcze, rozdzierające swoją brutalnością. Nie mam nawet siły krzyczeć. Otwieram tylko szeroko usta w niemym grymasie. Coś się dzieje. Następuje jakaś zmiana

w rytmie, któremu poddaje się moje ciało i odczuwam nieprzewyciężony przymus, by przeć. Wszyscy błagają, bym to uczyniła.

Kiedy prę, zdobywając się na ostatni, najwyższy wysiłek, wypycham z siebie ból. Wreszcie mogę kierować własnym przeznaczeniem. W tej samej chwili odczuwam ostre szarpnięcie – mam wrażenie, jakby coś rozrywało mnie na pół.

– Zdrowy, piękny królewicz, Wasza Królewska Mość! – wykrzykuje rozradowana położna. Ja jednak nic nie czuję. Chcę tylko spać.

## *Franciszka Brandon, markiza Dorset*

*Bradgate Hall, październik 1537 roku*

Krzyki dobiegające z dołu, od strony dziedzińca, zwiastują powrót grupy myśliwych i budzą mnie ze snu. Jest już późny wieczór. Musiałam spać wiele godzin. Przyjechał mąż.

Obok łóżka stoi ciężka, dębowa kołyska z wyrytą tarczą herbową Dorset, malowaną jaskrawymi barwami, z dwoma jednorożcami w gronostajowym polu okolonym złotem. W kołysce spoczywa dziecko, które teraz, szczerze otulone, głęboko śpi. Za nim, w kręgu światła świecy i w blasku płomieni tańczących w kominku, siedzi piastunka, pani Ellen, zszywając malutką, jedwabną czapeczkę. Na odgłos zbliżających się kroków znowu zamykam oczy. Oddałabym wszystko, byle uniknąć konieczności oznajmienia Henrykowi, mojemu panu, że kolejny raz go zawiodłam. Ale on już o tym wie. Odgaduję to z wyrazu twarzy, kiedy wchodzi do komnaty. W wielu sprawach bywa ustępliwy, lecz ta jedyna dotyczy jego dumy, a także szlachectwa.

– Dziewczynka – rzuca cierpko. – Nie mam pojęcia, czemu Bóg odmawia nam łaski. Regularnie chodzimy na msze, garściami rozdajemy jałmużnę, żyjemy po chrześcijańsku. Cóż jeszcze możemy zrobić?

Staram się odprężyć, głęboko wdzięczna losowi, że w trakcie porodu nie doznałam pęknięcia krocza. Muszę jednak leżeć płasko na plecach, co natchmiast stawia mnie w niekorzystnej sytuacji. Mimo to Henryk wisi nade mną niczym sztywna karykatura oburzonej męskości.

– Przynajmniej dziecko jest zdrowe – odpowiadam chłodno – a dzięki Bożej łasce w następnej kolejności urodzi się syn. Znam swoje obowiązki.

Ty zaś, mój panie, dopowiadam w myśli, synu zwykłego markiza, nie musisz przypominać mnie, córce królowej, o powinnościach.

Dostrzegam w jego oczach, że mimo woli podziwia moją godność i determinację. Wiem, że nawet teraz, choć wyczerpana leżę w połogu, pożąda mnie i uważa za ponętą, mimo że nie jestem klasyczną piękną. Pociągają go moje kasztanowe włosy – „tudorowskie”, jak je nazywa – i podejrzewam, że to one w dużym stopniu stanowią o mej atrakcyjności. Uważa, że mam zmysłowe wargi, podziwia także ciemne brwi, lekko zagięty nos i znamionujący zdecydowanie podbródek. Nawet po trzech porodach w ciągu czterech lat moje dwudziestoletnie ciało o obfitych piersiach i szerokich biodrach wciąż go podnieca. Zwłaszcza owe piersi, którym ciąża nadała bujniejsze kształty. Teraz jednak nie myśli o zmysłowych przyjemnościach, które zazwyczaj tak chętnie z nim dzielę. Zamiast tego przygląda się maleńkiej córce i nie może powstrzymać uśmiechu, gdyż dostrzega w niej wiele podobieństwa do ciotecznego dziadka, króla: takie same rudoblond włosy, zdecydowanie zarysowane, wąskie usta i niebieskozielone oczy, którymi – choć to zaledwie noworodek – wydaje się obserwować ojca, zdradzając nieprzeciętną inteligencję.

Z zaskoczeniem patrzę, jak nieco posępne, wyraziste rysy twarzy męża łagodni uśmiech.

– Ładna dziewczeczka – odważyłam się rzucić.

Prostując się, przytakuje ruchem głowy, a w jego oczach dostrzegam błysk zdradzający namysł.

– Istotnie. Wyprawimy jej wspaniały ślub z kimś, kto przyda splendoru naszemu rodowi. A tymczasem, Franciszko, czeka nas sporo uciechy, kiedy będziemy się dla niej starać o braciszka. Oczywiście, gdy tylko wydobrzejesz.

– Oczywiście – zgadzam się. – Jak powiedziałam, znam swoje obowiązki.

– Zawsze można połączyć przyjemne z pożytecznym – odpowiada ze znaczącym uśmieszkiem. Najgorsze mamy już za sobą, skoro zaczynamy bagatelizować bolesne rozczarowanie.

Nasza bezimienna na razie córeczka – spieramy się o imię, gdyż Henryk chce ją nazwać Katarzyną po swojej matce, ja zaś Franciszką albo Jane na cześć królowej – kończy dziś pierwszy tydzień. Jest niekłopotliwym dzieckiem, z apetytem ssie pierś mamki i sypia regularnie. Rzadko płacze. Za to ja czuję się niespokojnie i nieswojo. Dokuczają mi pobołewanie nabrzmiałych piersi, sączących mlekiem poprzez przewiązki, które założyła

położna, zapewniając, że ów podwójny potok za parę dni wyschnie. Niestety, dla mnie to i tak nie dość wcześnie.

Dzisiejszy dzień jest chłodny i rześki, lecz pogodny. Do późnego popołudnia złoty blask zachodzącego słońca przesłania błękit nieba, którego fragment widzę w oknie. Pod nieboskłonem szeroko rozpościerają się żyzne akry majątku Bradgate. Siedzę w fotelu, wpatrzona w połyskliwą taflę jeziora i widniejącą za nim puszcę. W oddali majaczą kryte strzechą dachy wiejskich domostw.

Lubię to miejsce. Wiem, że w opinii niektórych osób popełniłam megalomanię, lecz rekompensatą za to jest wiele rzeczy, wśród których niepoślednią rolę odgrywa męski i obdarzony podobną do mej osobowością mąż, podziwiający moje nadzieje i ambicje. Jest nią także ten dom, pokryty patyną czasu, najeżony wieżyczkami, czerwieniejący ceglany murami, z dziedzińcem i kordegardą, komnatami luksusowo umeblowanymi według najnowszej mody, otoczony mnóstwem ogrodów i altanek, gdzie z przyjemnością zażywa się świeżego powietrza.

Nagle czuję pragnienie wyjścia na zewnątrz. Nigdy nie lubiłam przesiadywać w domu przy lekturze lub haftowaniu, do czego zachęca się większość wysoko urodzonych dziewcząt. Dla mnie podstawowe przyjemności to spacer, jazda konna i łowy. I mam już dosyć tej paskudnej, dusznej sypialni.

– Peleryna! – rzucam. Przeciwwstawię się położnej i wyjdę na krótką przechadzkę. W asyście jednej służącej próbuję zejść po schodach, a potem, coraz śmielej, wymykam się z domu w nadziei, że położna tylko zerka karcącym wzrokiem z okna i że nie starczy jej odwagi, by próbować mnie powstrzymać.

Przemierzam zewnętrzny dziedziniec, dziękując Bogu, że przeżyłam poród bez szwanku. Znam kobiety, którym po urodzeniu dziecka pozostały na pamiątkę dotkliwe i trwałe dolegliwości. Ale ja jestem silna. Czuję, że odzyskuję pełnię zdrowia.

Przechadzam się teraz w cieniu okazałej kordegardy. Dystans, który mam pokonać, wyznaczają dwie strzeliste wieżyczki – wybudowane przez ojca Henryka, drugiego markiza Dorset – nadające pałacowi imponujący wygląd. Przechodzę pod sklepieniem kordegardy, mijam znajdujące się po lewej szranki i skręcam w prawo, ku przejściu w murze, prowadzącemu do ogrodu, gdzie latem zwykle kwitną róże. Przysiadam na chwilę na kamiennej ławeczce, napawając się jaskrawym, jesiennym słońcem użyczającym różanego poblasku czerwonym cegłom muru i ukrytej za nim posiadłości.

Niedługo jednak jest mi dane cieszyć się ucieczką. Niespełna pięć minut później słyszę tętent konia galopującego wzdłuż podjazdu prowadzącego

do Bradgate. Dosiadający go jeździec ma na sobie zielono-białą liberię – królewskie barwy Tudorów. Nie ulega wątpliwości, że przywozi ważne wieści. Podnoszę się zatem i spieszę z powrotem do domu, gdzie mój pan zdążył już posłać po dworzan, by zebrali się w wielkiej sali.

– Ta wiadomość wyznacza dziejową chwilę, Franciszko – mówi. – Wszyscy muszą to usłyszeć.

Stoimy oboje na podium, a uformowane naprędce szeregi dam, szlachciców, urzędników dworskich, stajennych, paziów, służby pokojowej i kuchennej oraz innych posługaczy rozstępują się, by przepuścić zbliżającego się do nas królewskiego posłańca. Całą przestrzeń obszernej sali zwieńczonej sklepieniem z dębowych belek, pomiędzy ścianami osłoniętymi gobelinami, wypełnia szmer oczekiwania. Wszyscy – od dumnego szambelana po ostatniego kuchcika – wyciągają szyje, by lepiej słyszeć.

Ublocony jeździec przykłęka przed nami na jedno kolano. Chociaż wiadomość jest przeznaczona dla nas obojga, zwraca się przede wszystkim do mnie – siostrzenicy samego króla.

– Milordzie, milady, mam dobre wieści – wykrzykuje. – Królowa wydała na świat pięknego królewicza, a cały Londyn, cóż ja mówię, cała Anglia świętuje! Jego Królewska Mość przysłał mnie tu, abym przekazał tę radosną nowinę, a także zapytał o twoje, pani, zdrowie. Król życzy sobie, abyś wraz z milordem przybyła na dwór, kiedy tylko odbędziesz połów.

Pospiesznie osuwam się na kolana, by podziękować Bogu za tę wiadomość, na którą królestwo wyczekiwało z utęsknieniem niemal przez trzydzieści lat. Po dwóch fatalnych małżeństwach i katastrofalnym w skutkach sporze z papieżem mój wuj, król Henryk VIII, wreszcie ma syna i następcę tronu, a dynastia Tudorów zapewniła sobie sukcesję, uwalniając nareszcie kraj od widma wojny domowej. Choć to wspaniała nowina, doświadczam uczucia prawdziwej goryczy. Mam wrażenie, jakby kaprys losu pozbawił mnie własnego syna, równie gorąco upragnionego jak ów królewicz, nie tylko dlatego, że mój pan potrzebuje spadkobiercy, któremu przekaze szlachecki tytuł. W głębi serca od dawna skrywałam – czego Henryk bez wątpienia się domyślał – niewypowiedzianą, zdradziecką nadzieję, że los ostatecznie odmówi królowi męskiego następcy i utoruje drogę do tronu naszemu synowi. Albowiem moja matka, Maria Tudor, córka Henryka VII i młodsza siostra Jego Królewskiej Mości, pozostawiła mi w spuściźnie nie tylko królewską krew, lecz także prawa do samej korony. Niestety, muszę głęboko pogrzebać owe pragnienia, gdyż teraz niebezpiecznie jest nawet o nich myśleć. Król ma następcę tronu, zatem trzeba się radować.

– Chwała Bogu! – wykrzykuję żarliwie, zauważając z zadowoleniem, że wszyscy obecni poszli za moim przykładem i ukłękli. – Niezwłocznie napiszę do Jego Królewskiej Mości i przekażę najserdeczniejsze gratulacje oraz stosowny upominek dla Jego Księżęcej Mości z okazji chrztu. Jakie imię otrzyma królewicz?

– Edward, pani, jako że urodził się w wigilię dnia świętego Edwarda Wyznawcy.

Odpowiednie imię, wszak święty Edward był królem Anglii. Tak samo ochrzciłabym własnego syna.

– A jak się miewa królowa, moja zacna ciotka? – pytam, skrycie zachodząc w głowę, za cóż Wszchemogący nagrodził synem Jane Seymour, tę anemiczną, bezmyślną fajtłapę, podczas gdy ja urodziłam bezużyteczną dziewczynkę.

– Czuje się dobrze, milady, mówią nawet, że mimo długiego i niebezpiecznego porodu szybko usiadła i zaczęła pisać listy obwieszczające tę pomyslną nowinę. Chrzest dziecka już się odbył. Matką chrzestną była córka króla, lady Maria, a jako ojcowie chrzestni wystąpili arcybiskup Canterbury oraz książęta Norfolk i Suffolk. Zapewniam, że Jego Królewska Mość jest teraz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Odprawiamy posłańca, wysyłając go do kuchni na poczęstunek. Służbie zaś polecamy wrócić do pracy. Gdy przechodzimy z sali do prywatnych komnat, wszędzie aż huczy od gorączkowych głosów, komentujących tę doniosłą wiadomość. Jednak Henryk i ja, wchodząc po schodach, nie wypowiadamy do siebie ani słowa. Wprost nie możemy pojąć, że dawniej pani Seymour, tej pruderyjnej i dwulicowej ladacznicy, udało się to, czego nie osiągnęła ani wielka księżna Katarzyna Aragońska, ani równie wielka dziwka Anna Boleyn – że urodziła królowi zdrowego syna. Zazdroszczę jej. Dając mężowi męskiego następcę, zapewniła sobie bezpieczną przyszłość oraz pozycję zarówno żony, jak i królowej, a także uczucia mojego wuja. Ta niesprawiedliwość losu sprawia, że odczuwam wściekłość. Zastanawiam się też, dlaczego sama rodzę tylko chorowite bachory albo córki?

W tym momencie nasuwa mi się myśl szybka niczym błyskawica, stanowiąca odpowiedź na zadane pytanie. Może Bóg zesłał nam córkę, aby przysporzyć rodowi markiza Dorset chwały całkiem innego rodzaju? Wydaje mi się, że nie mógł wyraźniej objawić swojej woli.

– A więc Jego Wysokość ma wreszcie syna – odzywam się. – A ów syn pewnego dnia, po niewielu latach, będzie potrzebował żony.

Henryk posyła mi wymowne spojrzenie, dzięki któremu upewniam się, że doskonale rozumie, co mam na myśli.

– Tak – potwierdzam z uśmiechem. – Myślę, że pojmujesz. Nie może być odpowiedniejszej partii dla szlachetnego królewicza Edwarda, zgadzasz się, mężu?

Oczywiście, że się zgadza. Jest równie ambitny jak ja. Potrafi brutalnie ode mnie dążyć do zaspokojenia żądz wielkości i awansu. Nie powinnam się jednak dziwić, zważywszy na dzielącą nas różnicę pochodzenia. Ja urodziłam się w królewskiej rodzinie, zaś Henryk musiał iść naprzód po trupach, wypatrując okazji do podniesienia swej pozycji. Powinnam oczywiście pamiętać, że jego prababka, słynąca niegdyś z piękności Elżbieta Wydeville (w oryginale zastosowano inną wersję pisowni nazwiska rodowego Elżbiety Woodville – przyp. red.), usidliła ni mniej ni więcej, tylko samego króla – mojego pradziadka Edwarda IV. Mój mąż ma wiele z owej sprytniej damy. Bez skrupułów porzucił poprzednią, dobrze urodzoną narzeczoną, by poślubić mnie, siostrzenicę króla, czyli bardziej godną kandydatkę. Od tamtego czasu nie przestał też knuć, zresztą wraz ze mną, intryg mających na celu podniesienie prestiżu naszego domu. A teraz oto wydaje się, że mamy już w zasięgu wzroku nawet tron.

– Widzę to wyraźnie – odzywa się wreszcie Henryk. – Wiesz jednak, że taki kierunek działań będzie pełen niebezpieczeństw. Król to dumny człowiek, którego przepęlnia dynastyczna ambicja. Prawdopodobnie więc poszuka królewiczowi zagranicznej kandydatki do mariażu, dzięki któremu scementuje korzystny sojusz lub zdobędzie nowe terytorium. Jest również podejrzliwy i gdyby zwierzył nasz plan, mógłby pomyśleć, że czyhamy na sposobność zbliżenia się do tronu. Nie muszę ci przypominać, Franciszko, że przewidywanie śmierci króla oznacza zdradę. Musimy postępować bardzo ostrożnie.

– Nie wątpię, że to się uda – zapewniam. – Chyba że brakuje ci odwagi? Muszę wiedzieć, czy w tej sprawie stoisz po mojej stronie, Henryku.

– Oczywiście – odpowiada, a w jego oczach dostrzegam podziw. – Chyba nie myślisz, że nie cieszyłbym się, widząc córkę na królewskim tronie. Nie mam wątpliwości, że dzięki twojej odwadze i mojej ostrożności dobrze to rozegramy.

Po chwili cały pomysł wydaje się już mniej szokujący i przedstawia się najzupełniej sensownie. W dzisiejszych czasach księżęta nie zawsze przecież poślubiają zagraniczne księżniczki – wystarczy choćby spojrzeć na Elżbietę Wydeville, Annę Boleyn i Jane Seymour. Żadna z nich nie pochodziła z królewskiego rodu. W dodatku nasza córeczka ma nad owymi szacownymi damami jedną ogromną przewagę – znakomite pochodzenie. W jej żyłach płynie krew Tudorów.

Henryk uśmiecha się z zadowoleniem i składa na moich wargach lekki pocałunek.

– Spisałaś się lepiej niż myślisz, moja pani – mówi łagodnie. – A w towarzystwie królowej musisz mieć oczy i uszy otwarte, tak jak i ja, gdy udam się na dwór. Możemy też być pewni, że wkrótce Jego Wysokość zacznie rozglądać się za odpowiednimi narzeczonymi dla syna.

Mam teraz głowę pełną pomysłów. Uczucie rozczarowania ulotniło się bez reszty.

W drzwiach wiodących do naszych apartamentów Henryk zatrzymuje się i zerka na mnie przez ramię.

– Myślę, że masz rację, Franciszko. Powinniśmy dać dziecku imię Jane na cześć królowej. Lady Jane Grey. Jest już nawet dla niej odpowiedni królewski pierścień!

## *Pani Ellen*

*Bradgate Hall, grudzień 1537 roku*

Niespełna trzy tygodnie od narodzin mojej małej lady Jane dowiedzieliśmy się, że królowa zmarła. Szczegóły zdradził nam spocony, pokryty błotem posłaniec, który przybył z tą ponurą wieścią. Opowiedział poruszonym domownikom, że królowa chorowała przez siedem dni, powalona gorączką połogową nazajutrz po chrzcie królewicza. Dworzanie szemrali, że jej opiekunki nadmiernie folgowały jej kaprysom dotyczącym zbyt pożywnego jadła, a ponieważ król nie umiał niczego odmówić matce jedynego syna, królowej podawano wszystko, czego zażądała, aczkolwiek niezbyt rozsądnie.

– Bywały chwile, gdy myśleliśmy, że wyzdrowieje – kontynuował posłaniec. – Odkąd spowiednik królowej udzielił jej ostatniego namaszczenia, wydawało się, że czuje się lepiej. Nawet usiadła w łóżu i rozmawiała z Jego Królewską Mością, ku jego wielkiej uldze. Zdołała też uradować serce wieścią, że podczas jej choroby Miłościwy Pan nadał jej bratu, Sir Edwardowi Seymourowi, tytuł hrabiego Hertford. Jednakże tego samego wieczoru nastąpił nawrót choroby, a majacząca królowa znów zległa na łóżu. Zrozpaczony król

nakazał biskupom poprowadzenie duchownych w uroczystej procesji przez Londyn do katedry św. Pawła, gdzie wszyscy odprawili modły i błagali Pana, by oszczędził królową. Ale poprawa nie nastąpiła.

Mężczyzna urwał na chwilę. Milord i milady czekali spokojnie, aż podejmie opowieść, ale niektórzy słuchacze najwyraźniej walczyli ze łzami. Królowa cieszyła się dobrą sławą wśród prostych ludzi, nienawidzących Anny Bullen<sup>2</sup>, urodzonej pod złą gwiazdą wiedźmy, która czarami omamiła króla i zawładnęła jego sercem. A na myśl o biednym, osieroconym dziecku, wszystkim ścisnęło się serce...

– Król – ciągnął posłaniec – odwołał polowanie i pozostał w Hampton Court, gdyż nie mógł zostawić żony w tak złym stanie. Później nastąpiła niewielka poprawa i, jak mówiono na dworze, lekarze oświadczyli Jego Królewskiej Mości, że jeśli królowa zdoła przetrwać noc, będzie można żywić uzasadnioną nadzieję na jej przeżycie. Lecz tego wieczoru króla pilnie wezwano do łóżka małżonki, gdzie pozostał do końca, roniąc łzy i błagając, by nie umierała. Wszyscy byliśmy zdumieni, iż monarcha, słynący z tego, że przeraża go widok choroby i śmierci, nie ruszył się z miejsca. Zaiste, przyjął jej odejście po chrześcijańsku i uważa się, że będzie dla małego królewicza razem ojcem i matką.

Nie zdołałam powstrzymać łez. Nigdy nie miałam własnych dzieci, a „panią” tytułują mnie tylko przez wzgląd na rolę piastunki, ale zawsze miałam słabość do wszystkich maleństw, toteż nie mogłam znieść myśli, że ów biedny chłopiec, owinięty złotogłowie w ogromnej, zdobnej kołysce, otoczony przepychem i luksusem, został pozbawiony tego, co najcenniejsze dla każdego dziecka – matczynej miłości. Nawet królewicza może spotkać los godny współczucia.

W przeciwieństwie do nas milady beznamytnie przyjęła tragiczną winę. Widziałam, jak słuca posłańca, wyprostowana i pełna godności, odziana w szkarłatny aksamit. Nikt by nie pomyślał, że sama niedawno przebyła połóg, zachowała bowiem dawną smukłość i energię. Po dwóch tygodniach znowu jeździła konno. Oczywiście uczyła słowami biedną królową jak należy, ale wszyscy wyczuwali, że jest to gest powierzchowny. Nigdy zbyt często nie przestawała ani nie sympatyzowała z Jane Seymour. Czegóż wszakże można się spodziewać po kobiecie, która własne niemowlę

---

<sup>2</sup> Bullen – inna wersja pisowni nazwiska rodowego królowej; ponadto lud w rozmowach o Annie Boleyn nazywał ją bezceremonialnym zdrobnieniem „Nan”, wyrażając w ten sposób swoją antypatię (źródło: [www.britannica.com](http://www.britannica.com); [www.telegraph.co.uk](http://www.telegraph.co.uk)) (przyp. tłum.).

oddała mamce i od tego czasu ledwie raczyła rzucić na nie okiem? Och, wiem, arystokratki różnią się od nas i za nienaturalne uważają wychowywanie dziecka przez matkę – wszyscy pamiętają, jakie powstało zamieszanie, gdy Anna Bullen chciała karmić piersią lady Elżbietę – ale służyłam dotąd jako główna piastunka na dworach trzech wielmożów i widziałam dość, aby wiedzieć, że większość matek kocha swoje dzieci i pragnie spędzać z nimi jak najwięcej czasu. To mężczyźni narzucają te surowe reguły, nalegając, by zatrudniać mamki czy piastunki. I wiem dlaczego. Niekarmiącym żonom szybko kończy się mleko, a oni mogą spłodzić więcej synów. Poza tym, rzecz jasna, nie jest dobrze, gdy matka zbyt przywiąże się do dziecka, które trzeba będzie wyprawić w świat na naukę lub w młodym wieku wydać za mąż. Pewnie, żyjemy w okrutnym świecie. Wątpię jednak, czy lady Dorset podziela ten pogląd.

Niebawem znalazłam się w kuchni. Jako piastunka lady Jane mam obowiązek nadzorować przygotowywanie posiłków dla dziecka i dbać, aby zachowywano przy tym stosowną higienę. Wielkie kuchnie w Bradgate to miejsca gorące i hałaśliwe, ale ja wywodzę się z drobnych właścicieli ziemskich – ojciec sprzedał nieduże gospodarstwo i otworzył zyskowny kantor kupiecki w Londynie – więc czuję się swojsko, uwijając się w piekarni, spiżarni, schowkach, składzikach i jadalni dla służby, wymieniając plotki i żarciki z kuchmistrem Williamem Yatesem oraz rzeszą jego pomocników i posługaczy. Tu nie ma miejsca na zadzieranie nosa, tylko na ciężką pracę i życzliwą komitewę, nawet jeśli atmosfera bywa nieco napięta w kłębach pary i żarze buchającym z huczących ogniem kuchennych palenisk. Kuchnie w każdej arystokratycznej rezydencji są także miejscem, gdzie można poznać sekrety pracodawców, lordów i dam, jako że podwładni chętnie umilają sobie nużące obowiązki plotkowaniem na temat szczegółów z ich życia, stanowiących niewyczerpane źródło fascynujących wiadomości. Dzięki takim pogawędkom czasem nawet myślę, że my, służący, więcej wiemy o życiu lorda i lady Dorset niż oni sami!

Tamtego dnia posłaniec, rozochocony kilkoma kufłami piwa wdał się w poufną pogawędkę z kuchmistrem Yatesem, a ja zdołałam podsłuchać coś, co wprawiło mnie w zdumienie.

– Pojawiły się plotki – powiedział – że główny sekretarz, Cromwell, martwi się, iż królewicz może umrzeć w niemowlęctwie, jak wiele innych dzieci, zatem ponaglał Jego Królewską Mość do ponownego ożenku ze względu na dobro ludu i królestwa.